ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Lutego. № 5. Roku 1857.

Księżyc na weselu.

Gadka ludu nadwiślańskiego.

Ze zbioru K. Minarskiego.

Święty Marcin zaopatrzył wesołe okolice nadwiślańskie obficie w tłuste gęsi, lecz chmurnem okiem spojrzał na glinkowatą ziemię, i rzęsistemi deszczy rozwilżył głęboko jej łono.

Niezwykłym też trybem odbywały się w tym roku wieśniacze obrzędy weselne. Miasto szumnych i gwarnych pochodów, przemykających pędem wiatru przez pola i łąki, wlokła się ta i owa drużyna nudno, żmudno i leniwo po grzązkim i nierównym gościńcu.

Wśród takiejto właśnie smutnej i dżdżystej pory przypadało wesele urodziwej jedynaczki Szymona Bartnickiego, najzamożniejszego kmiecia we wsi Naborowie. Za długo już opierała się ładna Halka namowom i przedstawieniom rodziców i swatów, za długo uwodziła próżnemi słowy liczny tłum swoich wielbicieli: w tym roku musiała oddać serce i rękę młodemu Tomkowi, najdorodniejszemu młodzianowi z pewnej wsi pobliskiej.

W całym Naborowie podziwiano głośno dobraną parę, po wszystkich wieczornicach rozprawiano szeroko o zaletach obojga państwa młodych, a kto żył, wybierał się na wesele, które w sam dzień ś. Marcina miało odbyć się w chacie starego Szymona.

Już we czwartek uwijali sie po wsi drużbowie, spraszając gości na bliskie gody weselne, a od tygodnia krzątały się krewne bez wytchnienia w chacie panny młodej, i to prały i szyły, to piekły i smażyły, co tylko rąk i sił stało.

Sam pan młody w sobotę po południu wybrał się z swojej rodzinnej wsi, położonej o trzy mile od Naborowa. Chciał wcześnie stanąć w Naborowie, aby przenocować u swojego najlepszego przyjaciela i pierwszego drużby Michała; nazajutrz zaś miał skoro świt zapukać do drzwi narzeczonej, a potem z nią razem udać się po błogosławieństwo do dworu dziedzica.

Dobrze jeszcze za dnia wyruszył obładowanym wozem z domu, a pół majątku byłby stracił z ochotą, gdyby mógł był zdążyć na miejsce wraz z onemi wronami, które w licznych stadach przemykały ponad jego głową. Wszakże jakgdyby umyślnie na przekor jego niecierpliwym życzeniom toczył się wóz z żółwią powolnością po grzązkim gościńcu. Co chwila zapadały konie po same brzuchy w gęstej i lepkiej glinie, a koła grzęzły po osie.

Godzina za godziną upływała w trudnej i żmudnej podróży, znużone konie ustawały na miejscu, a słońce, które już od godziny coraz słabszym przyświecało blaskiem, znikło gdzieś zupełnie za czarnemi chmurami.

Głęboka, ponura ciemność ogarnęła ziemię. Leniwa podróż nieszczęśliwego pana młodego stała się jeszcze trudniejszą. Dwa razy wjechał już w jakiś głęboki rów, a wydobywszy się nareście z ciężkiego razu, spostrzegł z nieopisanym przestrachem, iż zboczył gdzieś z gościńca.

Nie pozostawało nic innego jak przenocować w błocie, a dopiero z brzaskiem dnia odszukać gościniec i puścić się w dalszą podróż. Byłato nie nazbyt miła przygoda dla oblubieńca, który radby był ptakiem przelecić do narzeczonej.

Z niewymownym frasunkiem poddawał się już Tomek nieszczęsnemu losowi, gdy wtem przypomniał sobie dziwne powieści, jakich tak często nasłuchał się na wieczornicach u starej babki i ciotki.

Osobliwsza myśl przyszła mu nagle do głowy. Skoczył corychło z wozu, i usiadł na jednego z uprzężonych koni, a potem przykrzywiwszy magierkę na bakier, i wyprężywszy się w całej postaci, wygłosił długą przemowę do księżyca, w której zwyczajnemi słowy zaprosił go uroczyście na jutrzejsze wesele, a w końcu dodał błagalnym głosem:

— „O złocisty księżycu! wierny przewodniku wśród nocy! Wybaw mię z mojego nieszczęsnego położenia, zaświeć przynajmniej na krótką chwilkę, abym mógł odszukać gościniec.“

Jeszcze nie skończył, gdy wtem rozstąpiła się nagle czarna chmura na niebie, a w całym blasku zajaśniał księżyc wśród ciemności, i oświetlił gościniec, który ciągnął się o kilka kroków od zbłąkanego oblubieńca.

Wśród serdecznych podziękowań skręcił uszczęśliwiony Tomek na drogę, i ze wszystkiej siły zaciął konie, gdy jakiś dźwięczny donośny głos dał się słyszeć nad jego głową:

— „Jedź szczęśliwie! księżyc przybędzie na twoje wesele.“

Przestraszył się zdziwiony Tomek, lecz nie miał czasu zastanawiać się długo nad tem cudownem zdarzeniem; zaciął konie, i pognał co tchu do Naborowa.

Już po raz drugi zapiał kur we wsi, gdy Tomek stanął przed chatą Michała. Szczery przyjaciel oczekiwał go niespokojny i niecierpliwy, a przy ogniu stała jeszcze nietknięta wieczerza. Lecz Tomek zapomniał o głodzie z utrudzenia, i nie tknąwszy łyżki, rzucił się na łoże, i usnął w jednej chwili jak zabity.

Kołysany rozkosznemi snami, byłby długo jeszcze spoczywał, lecz tuż nad rankiem ocuciło go silne ramię Michała.

— „Wstawaj leniwcze!“ — zawołał mu nad uchem wesoły przyjaciel. — „Słońce już wysoko na niebie. Wszyscy parobcy czekają na koniach gotowi do pochodu. Wstawaj cożywo.“

Zerwał się Tomek jak oparzony, i w momencie przywdział suknie świąteczne, wsadził na głowę czerwoną magierkę z pawiem piórkiem, i dosiadłszy konia, pospieszył na czele licznego i świetnego orszaku do domu narzeczonej, a ztamtąd razem z nią do pobliskiego dworu dziedzica.

Po otrzymanem błogosławieństwie pana, udał się orszak do kościoła. Państwo młodzi poprzysięgli sobie przed ołtarzem dozgonną miłość i wierność, i otoczeni radośnym pocztem krewnych, przyjaciół i znajomych, wśród spiewów i odgłosu muzyki, powrócili już dobrze po południu do Szymonowej chaty.

Teraz dopiero rozpoczęło się prawdziwe wesele, tańce, śmiechy, żarty, spiewy między młodzieżą, pijatyka i gawędka między starszymi.

— „Ale, ale“ — zawołał naraz pan młody, gdy muzyka dla odpoczynku ustała na chwilę — „nie opowiedziałem wam jeszcze, jakiego gościa zaprosiłem wczoraj na wesele.“

— „Jakto! zaprosiłeś gościa dopiero dniem przed weselem?“ — zapytała stara Szymonowa, zdziwiona tak rażącem naruszeniem odwiecznych zwyczajów weselnych.

— „Nie przyszło mi na myśl pierwej“ — odparł Tomek.

— „A któż to taki?“ — spytał stary Szymon.

— „O! nie zgadlibyście nigdy, ojcze“ — odrzekł wesoło Tomek. — „Jadąc wczoraj ciemną nocą do Naborowa, doznałem szczególniejszej łaski księżyca, i zaprosiłem go na wesele.“

— „Kogo! księżyca?“ — zapytał ten i ów zagapiony.

— „Jego samego“ — odpowiedział Tomek.

Starzy spojrzeli po sobie z zadziwieniem, a młodzież parsknęła śmiechem.

— „Zwolna, zwolna junacy!“ — zawołał na to z poważną miną pan młody. — „Nie śmiejcie się tak głośno, boć księżyc przyjął moje zaproszenie, i obiecał przybyć niezawodnie.“

— „O mój miły Jezusie!“ — krzyknęły kobiety i przeżegnały się.

I młodzi i starzy obstąpili Tomka, i nuż cisnąć i dręczyć go prośbami, aby im opowiedział całą przygodę.

Tomek nie ociągał się wcale, i w kilku krótkich słowach opowiedział zdarzenia ubiegłej nocy.

Głuchy szmer przebiegł po całem zgromadzeniu, a między starszem i kobietami, między ciotkami i wujenkami, wszczęły się żywe rozprawy, czy zbłąkany pan młody znalazł się dobrze czy źle.

Długo trwały rozprawy, aż w końcu przerwał je wesoły drużba Michał.

— „Wszystko to jest tylko żartem weselnym“ — zawołał ze śmiechem, zagłuszającym wszystkie inne głosy. — „Księżyc przykuty jest do nieba, i choćby nawet chciał, nie mógłby zejść na ziemię. Ów zaś głos tajemniczy, to zapewne przyśnił lub przysłyszał się zbłąkanemu Tomkowi, który z gniewu i umartwienia stracił przytomność w tak niewczesnej przygodzie. A jeśli w samej rzeczy przyrzekł księżyc znajdować się dziś między nami, tedyć oto właśnie dotrzymał słowa. Patrzcie jak ciekawie zagląda od kilku chwil w nasze szyby, jakgdyby nas do tem większej zachęcić chciał wesołości.“

— „A może czeka, abym ja sama ponowiła zaprosiny“ — dorzuciła figlarnie panna młoda.

I pochwyciwszy obie drużki za ręce, wybiegła ze śmiechem na dwór. Tam wyciągagając ręce ku niebu, zawołała przymilającym głosem do księżyca:

— „Luby, słodki księżycu! Przybądź, przybądź na moje wesele! Przyjmiemy cię radzi, i uraczymy z szczerego serca.“

Zaledwie swawolna oblubienica domówiła tych słów, zadrżał nagle księżyc na niebie, i na dwóch wstęgach złocistych spuścił się lotem błyskawicy ku ziemi.

Wszystkie trzy dziewczęta wydały okrzyk zgrozy i przerażenia, i bledsze od swojej bielizny świątecznej, wpadły z trzaskiem do chaty. Księżyc tymczasem stanął już na ziemi, przed progiem domu. Wspaniały wózek niebieski z dużym sierpem złocistym pozostawił na dworze, a sam tuż za panną młodą wstąpił do chaty.

Byłto przystojny, silnie zbudowany mężczyzna, z dwoma złocistemi rożkami na głowie, z twarzą pełną i okrągłą. Pod pachą niosł trojgraniasty kapelusz popielaty; na sobie miał frak niebieski z brunatnemi centkami i złocistemi guzikami, długą lśniącą, jasno-żółtą kamizelkę, sięgającą niżej bioder, takieżsame pantalony, spięte sprzączką przy kolanach, i wreście pończochy i trzewiki na nogach.

Ciszej i uroczyściej niż w kościele zrobiło się teraz w izbie godowej. Wszyscy stali niemi z przerażenia, a niektórym zabrakło oddechu w piersiach. Pierwszy Michał opamiętał się jakoś z przestrachu, a pomny w każdej chwili na obowiązki pierwszego drużby, przybliżył się śmiało do księżyca, i witając go uprzejmemi słowy, prosił aby raczył się czem posilić, i wychylił zdrowie państwa młodych.

Księżyc nie dał się długo prosić. Przystąpił do nakrytego stołu, i pokosztowawszy jednej i drugiej potrawy, wziął się do trunku tak dziarsko i ochoczo, że wnet wypróżniły się wszystkie dzbany i butle, a gospodarz musiał posłać do karczmy po nowe zapasy.

Widząc tak ludzkie i łagodne zachowanie się cudownego gościa, ochłonęli wszyscy z przestrachu, i powrócili do przerwanych tańców i zabaw.

Muzyka zagrała od ucha, młodzież w wesołych pląsach puściła się kołem po przestronnej izbie, a i księżyc nie pozostał długo obojętnym widzem.

Jednym susem przyskoczył do wolnej na chwilkę panny młodej, i wmieszał się ochoczo w grono tańcujących.

Wszyscy goście posłupieli z zadziwienia. Dorodny księżyc pląsał tak lekko i zwinnie, że wraz z tanecznicą swoją nie zdawał się nawet dotykać ziemi. Wśród pląsów przychylał się ustawicznie do ucha ładnej oblubienicy, i szeptał jej rozmaite pochlebstwa i słodkie słówka.

Nie podobało to się panu młodemu, nie podobało się i reszcie młodzieży, bo wszystkie dziewczęta, oczarowane niezwyczajną zręcznością księżyca, na niego tylko zalotnemi zerkały oczyma.

Powstały gniewne szepty pomiędzy parobkami; sam Tomek zżymał się coraz gwałtowniej. Aby tedy przeszkodzić grożącemu wybuchowi, kazał Michał pod pozorem znużenia tancerzy zamilknąć nagle muzyce. Ale księżyc nie porzucił się jeszcze swojej tanecznicy. Uwijając się ciągle koło niej, bawił ją coraz pochlebniejszemi słówkami.

To było już za wiele dla zazdrosnego Tomka. Miotany gniewem i zazdrością, przysunął się do księżyca, i ozwał się głośno ku swoim towarzyszom:

— „Osobliwsza rzecz! Kalendarz zapowiedział na dziś światło księżyca, a nie widać go bynajmniej na niebie. Ho, ho! jeśli tacy niebiescy panowie nie pilnują swoich obowiązków, jakże się dziwić ludziom na ziemi.“

Na te słowa zapłonął obrażony księżyc okrutnym gniewem. Nie wyrzekł jednakże ani słowa, tylko ręką skinął ku górze. W tej chwili ogromna chmura spuściła się na ziemię, a pozostawiony na dworze wózek z złocistym sierpem wzniosł się nagle w górę na kilka stóp.

Wtedy księżyc silnem ramieniem porwał w pół pannę młodą, jednym skokiem rzucił się ku drzwiom, i wybiegłszy na dwór, w mgnieniu oka dosiadł wiszącego na chmurze wózka, i lotem ptaka pomknął ku niebu.

Wypadli z chaty wszyscy goście, na pół nieżywi z przerażenia. Z krzykiem i płaczem rzucili się starzy rodzice Halki na kolana, i wyciągnęli błagalnie ręce ku niebu, a sam Tomek stanął niemy i nieruchomy jak kamień.

Tymczasem księżyc wznosił się coraz wyżej, i już sklepień niebieskich dosięgał wózkiem. Tu zwolnił lotu, a skręciwszy nagle w bok wózkiem, wyrzucił nieszczęśliwą Halkę w powietrze.

Przerażeni goście weselni wyciągnęli ręce ku niebu, aby pochwycić upadającą. Lecz omylili się w swoich nadziejach. Zamiast spadać ku ziemi, pomknęła nieszczęśliwa panna młoda bokiem po niebie, i przemieniwszy się w wielką błyszczącą gwiazdę, zawisła w obłokach pomiędzy małym i wielkim niedźwiedziem.

Głuchy jęk rozpaczy wyrwał się z piersi krewnych i rodziców na ziemi. Płacząc i złorzecząc, zwrócili się wszyscy ku skamienia-

łemu Tomkowi, i nuż wyrzucać mu niewczesne zaprosiny księżyca, nuż winić go o główny powód całego nieszczęścia.

Przygnieciony boleścią i rozpaczą, nie myślał biedny Tomek o uniewinnieniu się, stał nieruchomy na miejscu, jakgdyby nie widział i nie słyszał, co się dzieje wkoło niego.

Dopiero gdy wszystkich pięście wyciągnęły się groźnie ku niemu, gdy na nim samym chciano pomścić przewinę niegodziwego księżyca, otrząsł się Tomek ze swego otrętwienia, i powiódł tak bolesnem i smutnem spojrzeniem po swoich przeciwnikach, że rozzbroił wszystkich w jednym momencie. Potem otarłszy zalane łzami oczy, ozwał się do nich w te słowa:

— „Napróżno chcielibyście powiększyć moje nieszczęście. Sama śmierć byłaby dzisiaj największem dla mnie dobrodziejstwem. Nie chciałbym przecież umierać, dopóki się nie przekonam, iż nie ma już żadnego sposobu ocalenia mojej Halki. Tymczasem dołożę wszelkich usiłowań, aby bądźto przebłagać księżyca, bądź wyżebrać pomocy innych cudownych sił, i odzyskać koniecznie postradaną“.

Na te rzewnym głosem wymówione słowa uśmierzył się gniew wszystkich słuchaczy. Uściskał go zaraz wierny przyjaciel Michał, pobłogosławili rodzice narzeczonej, a i reszta przytomnych nie szczędziła zachęty do tak chwalebnego przedsięwzięcia.

Nazajutrz po tej smutnej scenie porwał biedny Tomek za kij wędrowny, i pożegnawszy się czule z krewnymi i przyjaciołmi, puścił się w dalszą podróż.

O kilkadziesiąt mil od Naborowa, w głuchej, dzikiej pustyni, w samym środku jakiegoś niezmierzonego boru, mieszkała stara, przeszło stóletnia wróżka, słynąca daleko z swoich praktyk cudownych.

Do niej udał się biedny Tomek z prośbą o pomoc i radę. Po długiej, uciążliwej podróży dopytał się do jej mieszkania, i wyjednawszy sobie niezwłoczne posłuchanie, opowiedział jej swą przygodę nieszczęsną, błagając na klęczkach o ratunek.

Zamyśliła się stara czarownica, wysłuchawszy uważnie słów nieszczęśliwego młodziana. Przystąpiła potem do ogromnego kotła, wrzącego w pośrodku pieczary, z mnóstwem płazów i jakichś ziół osobliwszych, i długo wpatrywała się weń, mrucząc różne słowa niezrozumiałe.

Nareście po wielu cichych i głośnych zaklęciach, i po długiej tajemniczej rozmowie z ogromnym czarnym kotem, wróciła na dawne miejsce, i pokiwując głową, rzekła do czekającego Tomka:

— „Hm, hm, trudna sprawa mój chłopcze! Nie znam żadnego środka pomocy przeciwko księżycowi. Umiałabym ci tylko powiedzieć, w jaki sposób mógłbyś się obaczyć z twoją narzeczoną. Lecz spotkanie to byłoby połączone z tylą niebezpieczeństwy i trudnościami, iż wątpię, abyś się na nie odważył“.

(D. n.)

IZABELLA ZAPOLSKA.

Opowiadanie historyczne

przez

Walerego Łozińskiego.

(Dokończenie.)

W tej najkrytyczniejszej chwili zesłał jej Bóg nagle pomoc nieprzewidzianą. Sami szeklerscy żołnierze buntowniczego Jerzego ujęli się za Izabellą, i wypowiedzieli posłuszeństwo dowódzcy. W przeddzień ostatecznego uderzenia na zamek powstał rozruch w obozie, trzy części armii buntowniczej oświadczyły się za królową.

Martinuzzi nie stracił ducha. Zręczną przemową i hojnemi obietnicami udało mu się na chwilę zażegnać burzę i poskromić nieprzewidziany wybuch żołnierzy. Poczem tając starannie całe zdarzenie, pospieszył do królowej, i jakoby sam przez się opamiętawszy się, zaczął błagać ją na klęczkach o przebaczenie, zniosł w skrusze i pokorze najdotkliwsze wyrzuty, przyrzekł uroczyście bezwarunkowe nadal posłuszeństwo i uległość we wszystkiem.

Nie domyślając się bynajmniej prawdziwych powodów tak nagłej zmiany dumnego przeciwnika, uwierzyła szlachetna Jagiellonka w szczerość wszystkich jego słów i przyrzeczeń, mniemała iż rzeczywiście poruszony wspaniałością serca, poskromił ambicyę i zuchwałość w chwili największego tryumfu. Tymczasem Martinuzzi ulegał tylko niepomyślnemu zbiegowi wypadków, korzył się przed wolą własnych żołnierzy, a nie przed majestatem królowej. Przepraszał on królowę z pokorą i uległością na twarzy, lecz z dumą i zuchwałością w sercu; prawił ze łzami w oczach o czci i przychylności dla Izabelli i jej syna, a żywił nienawiść i zawziętość w głębi piersi.

Toż niedługo ukryły się prawdziwe jego uczucia. Prawie jednocześnie z oświadcze-

niem nieograniczonej uległości dla królowej, zażądał on zbrojnej pomocy od króla Ferdynanda, aby doprowadzić do skutku wszystkie zamysły dawniejsze.

Nie zrzekłszy się nigdy swoich praw do Siedmiogrodu i reszty Węgier, zapewnionych Austryi jeszcze traktatem z r. 1538, umyślił król Ferdynand korzystać z nadarzonej sposobności, i wysłał corychło silną armię pod wodzą jenerała Castaldo w celu zajęcia wszystkiej ziemi Siedmiogrodzkiej.

Izabella domyśliła się tajemnego wpływu Jerzego na to postanowienie Ferdynanda. Jakoż złożywszy na prędce sejm w Eyned, wystąpiła z otwartem zaskarzeniem przeciw Jerzemu, i starała się dowieść mu tajnego porozumienia z Ferdynandem, którego wojska wkroczyły w granicę państwa.

I rzeczywiście uznał sejm przewinę królewskiego opiekuna. Nie zatrwożyło to jednakże bynajmniej nieprzyjaciela, możniejszego dzisiaj niż kiedykolwiek. Owszem ufny w potęgę zbliżających się wojsk rakuzkich pospieszył on osobiście na sejm, i po części wymową, po części zaś postrachem, zdołał obalić zapadły już wyrok, i odzyskać dawny wpływ w radzie senatu.

Tymczasem Castaldo nie spotykając nigdzie najmniejszego oporu, zajmował zamek po zamku, i posuwał się coraz dalej w głąb kraju. Królowa nie czuła się bezpieczną we własnej stolicy, a zrzekła się już wszelkiej nadziei wsparcia ze strony Solimana.

Wtedy Martinuzzi stanął z własnego popędu przed obliczem królowej, i jakoby najwierniejszy poddany i przyjaciel, ubolewał wśród łez i narzekań na jej położenie, a w końcu jął błagać ją na klęczkach, aby uległa nieszczęsnemu zbiegowi wypadków, i zrzekając się węgierskiej korony, weszła w układy z wodzem rakuzkim.

— „Zważ miłościwa pani" — dodał przekonywując — „iż z każdym dniem uszczuplają się posiadłości twoje — że król Ferdynand, zająwszy cały Siedmiogród mocą oręża, gotów potem cofnąć wszystkie dzisiejsze zobowiązania i przyrzeczenia."

Pozbawiona wszelkiej własnej i obcej pomocy, nie mogła dłużej opierać się królowa. Zezwoliła na wszystko. Martinuzzi pospieszył co rychło do obozu Castalda, a za jego pośrednictwem stanęła rzeczywiście w kilka dni ostateczna umowa między Izabellą a pełnomocnym wodzem króla Ferdynanda.

Izabella zrzekła się Węgier i Siedmiogrodu, obowiązując się zarazem oddać koronę i resztę klejnotów skarbcu królewskiego.

Natomiast Castaldo w imieniu króla Ferdynanda zapewnił jej księstwa opolskie i raciborskie na Szląsku, obowiązując się także powrócić młodemu Janowi Zygmuntowi bogatą puściznę ojcowską i całą oprawę matczyną. Na ostatek oznaczono obopólnie czas przyszłych zrękowin królewica z jedną z córek Ferdynandowych. Warowała sobie jeszcze i to szlachetna Jagiellonka, aby żaden z jej stronników nie był za wierność swoją karanym lub prześladowanym.

Poczem usunęła się do małego miasteczka Felvincz, zkąd po przysposobieniu się do dalekiej podróży miała udać się bezzwłocznie do swoich posiadłości szląskich.

Wszakże w tem ustroniu i odosobnieniu czekała ją nowa nieprzyjemność. Castaldo lękał się o koronę i klejnoty, które królowa miała oddać Ferdynandowi aż po objęciu księstw szląskich. Przedstawiając niebezpieczeństwo przewozu tych skarbów w tak odległe strony, domagał się Castaldo aby królowa powierzyła mu je przed swoim wyjazdem. Izabella nie chciała skłonić się do tego żądania, a wódz rakuzki postanowił użyć przemocy.

Pewnego poranku otoczył mieszkanie królewskie hufiec hiszpańskich żołnierzy, a sam Castaldo stanął przed królową w towarzystwie Jerzego Martinnzzi.

Królowa Izabella musiała poddać się woli zwycięzców. Własną ręką oddała Castaldowi koronę, berło i resztę kosztowności. W pospiechu, z jakim pełnomocnik Ferdynanda odbierał do rąk swoich te skarby, odłamał się przypadkiem krzyżyk u wierzchołka korony. Spadłszy w przytomności wszystkich z brzękiem na ziemię — „tak się" — według wyrazu kroniki polskiej—„zawieruszył", iż mimo najsilniejszych starań, mimo przetrząsań całego domu, niepodobna go było odszukać.

Poczytali to Castaldo i Martinuzzi za jakąś wieszczbę niefortunną, i nie w najweselszem ztąd usposobieniu opuścili obadwaj mieszkanie Izabelli, uwożąc z sobą ostatnie znamiona jej królewskiej godności.

Po ich odejściu pogrążyła się królowa w smutku i żalu, a na myśl niepewnej przyszłości jedynego syna swojego zapłakała rzewnemi łzami. W tejże właśnie chwili wbiegł sam dziesięcioletni królewic w wesołych poskokach do pokoju.

Ujrzawszy matkę tak bolesnym dotkniętą smutkiem, zwolnił kroku, uśmiech swawolny znikł

z jego dziecięcej twarzy, a przejęty nagłą pomimowolną żałością, zbliżył się nieśmiało do kolan matki, i wyciągając rękę ku jej szyi, zapytał płaczliwym głosem: z jakich powodów oddaje się tak głębokiemu smutkowi?

— „Dziecię moje“ — odrzekła smutnie królowa. — „Miałam ci zachować potężne królestwo i wspaniałą koronę, a postradałam je niepowrotnie.“

— „O uspokój się, matko, jeślić tylko o to chodzi“ — przerwał radośnie królewic. — „Korona niepostradana! Pozostała mi z niej cząstka, która zapewne przyciągnie resztę do siebie.“

A mówiąc to wyjął z zanadrza ów krzyżyk z korony, który w tak niewytłumaczony sposób zniknął był zprzed oczu zdumionego Castalda.

Królowa ucałowała czule zarumienioną z radości twarzyczkę dziecka, i rzekła mu na poły pocieszona:

— „Schowaj synu ten krzyżyk kosztowny; może Pan Bóg w swoich wyrokach nieodgadnionych spełni przepowiednię twoją.“

W kilka dni potem wyruszyła z kilką obładowanemi brykami na miejsce nowego przeznaczenia. Jerzy Martinuzzi odprowadził ją do Zilah, a przy pożegnaniu zaniosł się głośnym płaczem. Byłyż to łzy wymuszone, czy też płynęły z prawdziwego żalu za monarchinią, pod której panowaniem dostąpił najwyższych zaszczytów i godności?

W ciężkim smutku odbywała królowa dalszą podróż, wracając tąsamą drogą do Polski, którą przed laty jedynastą dążyła z Polski do swojej nowej stolicy.

Stanąwszy wreście u granic polskich, wysiadła rozrzewniona z powozu, aby ostatniem spojrzeniem pożegnać ziemię, która miała jej stać się z czasem drugą ojczyzną.

Otrząsłszy się cokolwiek z wzruszenia, przystąpiła do drzewa, stojącego na małym pagórku przy gościńcu, i wyryła na nim trzy wieloznaczne słowa łacińskie:

Sic fata volunt (Tak losy chcą).

Miało to być ostatniem pożegnaniem z berłem i koroną węgierską, i z wszystkiemi dawniejszemi marzeniami o powołaniu i przyszłości jedynego syna.

V.

TRYUMF I ŚMIERĆ.

Przybywszy nakoniec w granice ojczyzny polskiej, chciała Izabella przed wyjazdem do księstw szląskich widzieć się jeszcze z bratem Zygmuntem Augustem, który zajęty nowemi obowiązkami panującego, odprawiał podówczas sądy w Piotrkowie.

Uprzejmy brat uprzedził jej życzenia, i przybył sam do zamku krzepickiego, gdzie zjechała się Izabella z matką i siostrami, trzema niezamężnemi jeszcze królewnami Zofią, Anną i Katarzyną.

Kilka dni przepędziła tu cała rodzina królewska, zajęta wyłącznie sobą samą. Dopiero konieczny powrot króla do Piotrkowa dał hasło do rozstania się. Zaraz za królem odjechała też Izabella do swoich księstw.

Wszakże niedługo miała się cieszyć przymusową zamianą za Węgry. Brak odpowiedniego mieszkania w stolicy dawnych książąt Opolskich zniechęcił ją do kraju, który zresztą wydał jej się nazbyt smutnym i ubogim. Do tego przyczyniały się i coraz drażliwsze nieporozumienia z królem Ferdynandem. Izabella żaliła się na niedotrzymanie zawartego z Castaldem traktatu, król Ferdynand uniewinniał się wprawdzie z zarzutów, lecz nie wchodził w właściwą istotę zażaleń Izabelli, przeco stosunek obojga coraz nieprzyjemniejszym się stawał.

Zniechęcona nareście i rozgniewana, opuściła Izabella księstwa szląskie i powróciła do Polski.

Król Zygmunt August przyjął ją z wielką uprzejmością, a idąc za głosem krwi i wrodzonej sobie wspaniałomyślności, nadał wyzutej z krajów siostrze na utrzymanie dworu, odpowiedniego jej królewskiej godności, Sanok na Rusi i Krzepice w ziemi krakowskiej. Do tego królowa matka przyłączyła od siebie jeszcze intratne starostwo wieluńskie.

Ośm lat przebywała Izabella w Polsce, przemieszkując po części na dworze braterskim, po części zaś na Rusi w Sanoku. Przez cały ten czas zachowała powagę swojej dostojności królewskiej, świecącej zawsze niezatartym blaskiem na jej czole.

Czytamy np. w pamiętnikach spółczesnych, iż podczas wspaniałych zaślubin Zygmunta Augusta z arcyksiężniczką Katarzyną, córką króla Ferdynanda a wdową po księcin Mantuańskim Ludwiku Gonzaga, przewodniczyła królowa Izabella wszystkim uroczystościom weselnym, a przy głównej uczcie zajęła miejsce przed samąż królową matką, gdyż — jak podówczas mówiono — „królestwo Węgierskie ma miejsce przed Polskiem między królmi.“

Czynną też rolę odegrała Izabella w Polsce, gdy królowa Bona powzięła zamiar po-

rzucić Polskę, i sposobiła się do odjazdu do Włoch wraz z wszystkiemi skarby swojemi.

Aby odwieść królowę od tego zamiaru, postanowili panowie polscy użyć za przyzwoleniem Zygmunta Augusta pośrednictwa królowej Izabelli.

Ks. Jan Przerębski, podówczas podkanclerzy koronny, poźniej kanclerz i arcybiskup gnieźnieński, najzawziętszy przeciwnik odjazdu Bony, pospieszył do Sanoka do Izabelli, i wyłożywszy jej wymownie „z jakąby niesławą i szkodą dla rzeczypospolitej“ połączony był odjazd królowej Bony do Włoch, błagał aby swojemi przedstawieniami odwiodła królowę matkę od tak niewczesnego zamysłu. Izabella przyrzekła pomoc i pośrednictwo swoje, i pełna najlepszych chęci przybyła sama do Warszawy.

Atoli przekonawszy się o niezłomnem postanowieniu matki, uległa obowiązkowi córki, i miasto przeciwienia się życzeniom matczynym, popierała je owszem wszystkiemi odtąd siłami.

A kiedy po bezskutecznych usiłowaniach polubownych podkanclerzego Przerębskiego i krakowskiego biskupa Zebrzydowskiego użyto surowych środków dla przeszkodzenia wyjazdowi królowej, toć Izabella w największej części wpłynęła na łagodniejsze usposobienie króla.

Onato przemawiając w imieniu matki wyjednała u króla uroczyste przyrzeczenie, „iż co możnego jest, wszystko dla królowej matki swej uczynić gotów“, i byle panowie z swojej strony się nie przeciwili, on na wszystko chętnie przyzwoli.

A i poźniej, gdy królowa Bona hojnemi dary ujęła dla siebie znamienitszych panów, pośredniczyła Izabella znowuż między matką a synem, i zwróciwszy królowi wszystkie „przywileja, imiona i summy“ królowej Bony, wymogła na nim usilnemi prośbami, iż ostatecznie przychylił się do życzeń matki, i własnemi przedstawieniami przełamał opor niechętnych panów.

Otrzymawszy wreście pozwolenie wyjazdu i takzwane *litteras passus* dla królowej matki, odprowadziła ją najprzykładniejsza z córek aż do Szląska. Tam pożegnała się z rodzicielką po raz ostatni, a potem powróciła do dawnej siedziby swojej w Sanoku.

Jakby w nadgrodę za te dowody dziecinnej czci i miłości ku matce, która nie wahała się samowolnie osierocać dzieci swoje, zabłysły jej niebawem po tylu smutnych kolejach życia już podobnoś niespodziewane chwile szczęścia i tryumfu.

Niezadowoleni nowemi rządami Siedmiogrodzanie zwrócili znowu oczy i chęci ku zacnej wdowie Januszowej i ku jej synowi dorastającemu. Podstępne zamordowanie możnego Martinuzzi przez żołnierzy Castalda podburzyło umysły, i wywołało burzę, która uszczuplonym siłom wodza rakuzkiego okazała się niepodobną do zażegnania lub przytłumienia.

Zgromadziwszy w pospiechu resztki armii dawniejszej, umniejszonej dezercyą i zupełnem rozprzężeniem karności, ustąpił Castaldo dobrowolnie z Siedmiogrodu, spiesznym wszakże powrotem grożąc wszystkim odszczepieńcom od sztandarów rakuzkich.

Jeszcze przed jego odwrotem zebrał się r. 1556 walny sejm w Maros-Vasarhely, i po krótkich naradach powołał Izabellę i jej syna do objęcia napowrot rządów nad ziemią Siedmiogrodzką.

Izabella skłoniła się do życzeń narodu, i przybyła niezwłocznie do tego kraju. Cała jej podróż do stolicy równała się ciągłemu pochodowi tryumfalnemu. Lud witał ją z radością i uniesieniem, panowie z czcią i uległością, a najzawziętsi nawet przeciwnicy pojednali się z nią z głębi duszy.

Pełna najszczerszych chęci i najświetniejszych nadziei dla jedynego syna, objęła napowrót rządy Izabella. Szczęście zdawało się teraz samo uprzedzać wszystkie jej zamiary i życzenia.

Pragnęła usilnie pokoju z królem Ferdynandem, aby tem swobodniej zająć się rządami państwa. Sam też Ferdynand podał jej pierwszy rękę do zgody. Przyjęła ją z tem większą radością Izabella, ile że na wypadek wojny z Austryą musiałaby się była uciec na nowo do opieki i pomocy tureckiej.

Dospiał tedy w krótkim czasie następujący traktat z królem Ferdynandem:

Król Ferdynand dawał córkę swoją w małżeństwo Janowi Zygmuntowi. Za to zrzekł się tenże całego komitatu Abaujvarskiego wraz z Koszycami, i przyzwolił aby komitaty Beregh i Ugocsa połowę dani płaciły Zygmuntowi, a drugą połowę królowi Ferdynandowi. Wszystek Siedmiogród i część południową Węgier miał dzierżyć niezawiśle Jan Zygmunt; nie wolno mu było przecież używać tytułu królewskiego.

Pośredniczący w układach imieniem Polskiego Zygmunta Augusta Mikołaj Cikowski, kasztelan sądecki, miał traktat zawarty za-

wieźć Ferdynandowi do podpisu, gdy wtem nieprzewidziany wypadek rozerwał wszystko w chwili ostatecznej dojrzałości.

Królowa Izabella, od kilku już lat nie zbyt silnego zdrowia, zapadła w nagłą niemoc, i rozstała się z światem po krótkiej chorobie w wrześniu r. 1559.

Taki był koniec jednej z najszlachetniejszych latorośli wiekopomnego rodu Jagiellonów.

Syn Izabelli mimo zerwanych traktatów z Ferdynandem, utrzymał się wprawdzie przy odzyskanych krajach, ale niedługo im panował. Zmarł w młodzieńczych leciech, biorąc z sobą do grobu świetne imie Zapoliów, które podobnie jak ród Hunyadów tylko trzy pokolenia przeżyło od chwili najświetniejszego rozsłynięcia w historyi.

Dr. Tripplin o kuchni polskiej. W ostatniem dziele swojem *Hygiena polska czyli sztuka zachowania zdrowia, przedłużenia życia i uchronienia się od chorób*, mówi nasz wszechstronny powieściarz i podróżnik „o wpływie pokarmów na charakter narodowy“, przyczem zastanawia się z kolei nad kuchnią francuzką, ludów romańskich, południową, turecką, indyjską, angielską, amerykańską, niemiecką, pruską, madziarską, a nakoniec dodaje:— „Teraz przejdźmy do naszej kuchni polskiej. Kto jej nie odda pierwszeństwa nad wszystkiemi innemi, gdy ją pozna u naszych bogatszych obywateli wiejskich, u dygnitarzy, u bankierów, albo nawet tylko w lepszych restauracyach warszawskich? Kuchnia polska, której podstawą są nasze wyśmienite barszcze z uszkami, zawijane zrazy, huzarskie pieczenie, hultajskie bigosy, nadto przyjęła do siebie, i mieści w sobie wszystko co tylko wymyślono pod obcem niebem dobrego do jedzenia i picia, Odległość nie była w tym względzie żadną zawadą. Sosy wschodnio-indyjskie z Kalkutty, z Madrasu, wino z Malagi i z Cypru, z Przylądka dobrej nadziei i z Madery, porter i piwo z Anglii, ostrygi z Belgii, ryby z Kanady i kawior z Wołgi — dalibóg! Polak uczy się geografii żołądkiem, wcale nie wysilając rozumu; Polak zjada najlepsze rzeczy, jakie Bóg stworzył i ludzie wymyślili; na stole Polaka spotyka się rostbif angielski z makaronem włoskim, wita się holenderski śledź z wiedeńskim kurakiem, całuje się francuzka żulienka z szarlotką ruską, czasem nawet szczupak po żydowsku, zawsze przyjaźń z westfalską szynką. Bardzo miły widok eklektyzmu kuchennego i kosmopolityzmu żołądkowego przedstawia nasza kuchnia. To też odbicie tego eklektyzmu widzimy jasno w charakterze naszym; jesteśmy dobrymi lingwistami, umiemy się wtajemniczać w ducha narodowości wszystkich krajów i stref globu ziemskiego, wiele czytamy podróży, lubimy podróżować wszędzie, wracamy do kraju, i z rozrzewnieniem mówiąc: „Wszędzie dobrze ale w domu najlepiej“, tęsknimy za granicę, przyswajamy sobie cnoty wszystkich prawie narodów, umiemy być wyjątkowie pracowitymi jak Niemiec, czynnymi jak Francuz, słownymi jak Anglik, muzykę i sztuki piękne umiemy uprawiać jak Włoch, rozkoszujemy się w poezyach bohaterskich jak Hiszpan. Wprawdzie i przywary tych narodów wciskają się do nas niestety. — A zatem dobra jest, wyśmienita, nader postępowa i cudnie kosmopolityczna owa kuchnia nasza; szkoda tylko, że jeszcze niedostatecznie rozpowszechniona na obszarze kraju naszego. Na cztery miliony ludności żyjącej w królestwie Polskiem, będzie najwięcej 800 dobrych polskich kuchni. Po najściślejszem, najsumienniejszem obrachowaniu doszliśmy do tego statystycznego pewnika: Jedna polska kuchnia wypada na 5000 mieszkańców“...

Przytomność umysłu. W drugiej połowie ośmnastego stólecia zdarzały się jeszcze bardzo często napady zbójeckie nawet po główniejszych gościńcach Anglii. Podziwiano też powszechnie bogatego lorda Berkley, który mimo ustawiczne podróże dniem i nocą ani razu nie został zrabowanym. Jadąc pewnego wieczora do Honslow, dał się lord Berkley ukołysać jednostajnym ruchem powozu, i zadrzemał. Nagle obudził go jakiś głos szyderczy: — „Chwaliłeś się milordzie, że się nie dasz nigdy zrabować; chcemy to widzieć dzisiaj.“ Mówił to silny opryszek, trzymając mu przy samych piersiach gotowy do wystrzału pistolet. — „Nie byłoby się to stało i tym razem“ — odparł obojętnie lord Berkley, sięgając ręką do kieszeni, jakoby dla wydobycia sakiewki — „gdyby nie ten gap, co tak głupio wytrzeszczył na mnie oczy poza plecami twojemi“. Zdziwiony łotrzyk obejrzał się poza siebie, nie wiedząc ktoby mu stał za plecami. W tej chwili dobył lord Berkley pistolet z kieszeni, i celnym strzałem powaliwszy opryszka, pojechał dalej.

Świadectwo śmierci dla siebie samego. Wójt pewnej małej wioski w górach północnej Francyi piastując obok swoich funkcyj urzędowych także posadę owczarza gminy, wyprawiał się co zimy z trzodą na płaszczyzny. Przed wydaleniem się ze wsi nie zaniedbywał nigdy podpisać pewną ilość próżnych świadectw zgonu lub urodzin, które pod jego niebytność uzupełniał w razie potrzeby pozostawiony zastępca w urzędowaniu. Trafiło się ostatniej zimy, że daleko mniej członków gminy rozstało się ze światem niż się poczciwy wójt według swoich statystycznych obliczeń spodziewał. Ztąd powróciwszy do wsi, zastał kilka podpisanych dawniej blankietów w zapasie, a nim jeszcze mógł je w ciągu swego dalszego urzędowania wypotrzebować, zapadł sam nagle na zdrowiu, i umarł po krótkiej chorobie. Dawniejszy zastępca w urzędowaniu pospieszył co tchu do pozostałych blankietów wójta i napisał bezzwłocznie na jednym z nich świadectwo śmierci zmarłego wójta z wszelką formalnością zwyczajną. Tak tedy nieboszczyk wójt własnoręcznym podpisem swoim zatwierdził, jako rzeczywiście pożegnał się z tym światem, i w czasie oznaczonym złożony został w grobie.

Bezpieczeństwo od grzechu. „Są cztery rodzaje dumy“ — prawił sławny autor i kaznodzieja Swift na anglikańskiem kazaniu. — „Jest duma rodowa, duma bogactw, duma piękności i duma rozumu. Będę wam mówił jedynie o trzech pierwszych, bo co do czwartej, ta zapewne nie cięży na nikim w tem zgromadzeniu.“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*